



Sebastian
Barry

Po stronie
Kanaanu

Pierwszy dzień bez Billa

Bill odszedł.

Jaki dźwięk wydaje osiemdziesięciodziewięcioletnie serce, gdy się łamie? Może niewiele głośniejszy od ciszy, z pewnością nikły i wąty.

Kiedy miałam cztery lata, bawiłam się porcelanową lalką, która trafiła do mnie w osobliwy sposób. Siostra mojej mamy, mieszkająca w Wicklow, zachowała ją jeszcze z czasów ich dzieciństwa, a potem podarowała mi jako swego rodzaju pamiątkę po mamie. Dla czterolatki taka lala może być cenna z innych względów, przede wszystkim dlatego, że jest piękna. Wciąż pamiętam jej malowaną twarz, orientalną i pełną spokoju, oraz sukienkę z niebieskiego jedwabiu. Tatę, ku mojemu zdziwieniu, zmartwił ten prezent. W ogóle nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się przejął. Powiedział, że to zbyt cenna rzecz dla małej dziewczynki, choć jednocześnie kochał tę dziewczynkę z bezgranicznym uwielbieniem.

Którejś niedzieli, mniej więcej rok po otrzymaniu lalki, postanowiłam pójść z nią na mszę, mimo długich i szczegółowo argumentowanych protestów ojca, człowieka religijnego w tym sensie, że z nadzieją myślał o istnieniu życia pozagrobowego. Wierzył w nie całym sercem. W jego mniemaniu obecność lalki na mszy była, nie wiedzieć czemu, niestosowna.

Gdy się uparłam i weszłam z nią do prokatedry przy Marlborough Street, jakimś trafem, być może na skutek panującej tam powagi, lalka wypadła mi z rąk. Do dziś nie jestem pewna, całkowicie pewna, czy nie upuściłam jej pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu. Ale jeśli tak się stało, natychmiast tego pożałowałam. Posadzka w katedrze była ułożona z kamiennych płyt. Piękna sukienka nie ocaliła lalki i jej doskonała twarz w zderzeniu z podłogą potłukła się na kawałki drobniejsze niż skorupka rozbitego jajka. W tej samej chwili pękło mi serce. I tak w moim dziecięcym wspomnieniu trzask rozpadającej się lalki stał się dźwiękiem, jaki wydaje łamiące się serce. Chociaż to wyobrażenie powstało w głowie dziecka, zastanawiam się teraz, czy takiego dźwięku – nikłego i wątłego – nie wydaje osiemdziesięciodziewięcioletnie serce, gdy pęka z rozpaczy.

Towarzyszy temu uczucie, jakie wywołuje pogrążony w nieprzeniknionych ciemnościach pejzaż po powodzi, gdy wszystko, dom i zabudowania gospodarskie,

zwierzęta i ludzi, przejmują strach i groza. Tak jakby ktoś, jakaś ogromna agentura, jakieś CIA w niebiosach, dobrze znał tę małą maszynę, jaką jestem, jej budowę i działanie, i miał instrukcję, jak ją rozmontować, i właśnie to robił: wyjmował trybik po trybiku, odłączał jeden przewód po drugim, nie zamierzając złożyć mnie na nowo i nie zważając na to, że wszystkie elementy się pomieszały i pogubiły. Mój ból jest tak straszliwy, że w niczym nie znajduję ukojenia. Zamiast mózgu mam coś w rodzaju roztopionej kuli, w czaszce goreje mi ogień, z przerażenia i rozpacz.

*

Boże, wybac mi. Pomóż. Muszę się z tym pogodzić. Muszę. Panie Boże, proszę, pomóż. Widzisz mnie? Siedzę w kuchni, przy stole pokrytym czerwonym laminatem. Wszystko łśni. Zrobiłam herbatę. Nawet wyparzyłam dzbanek, mimo rozkojarzenia. Jedna łyżeczka na dzbanek i jedna na filiżankę. Jak zawsze odstawiłam herbatę i jak zawsze czekam, żeby naciągnęła. Wychodzące na morze okno wypełnia tafla żółtego światła, podobna do tarczy ze starego brązu. Przy tej niepewnej pogodzie jest mi ciepło w sukience z szarego grubego płótna, której kupna żałowałam zaraz po zapłaceniu za nią w sklepie przy Main Street i żałuję nadal. Wypiję herbatę. Wypiję herbatę.

Bill odszedł.

*

Legenda o mojej mamie mówiła, że umarła, wydając mnie na świat. Wskoczyłam, powiedział mój ojciec, niczym bażant z kryjówki, z krzykiem. Dobrze wiedział, jak wygląda wyskakujący z kryjówki bażant, ponieważ jego ojciec był zarządcą majątku Humewood w Wicklow. Mama umarła w porze, gdy już nie trzeba palić świec, o pierwszym brzasku. Stało się to w wiosce Dalkey, niedaleko od morza.

Przez wiele lat jej śmierć była dla mnie zasłyszana historią. Dopiero gdy sama zaszłam w ciążę, historia ożyła, tak jakby działa się w czasie bieżącym. Czułam obecność mamy na tej ciasnej sali porodowej w Cleveland, gdy usiłowałam wypchnąć syna. Wcześniej w ogóle nie myślałam o mamie, ale w tamtych chwilach sądziłam, że nigdy nie było na świecie dwóch bliższych sobie istot ludzkich. Kiedy wreszcie, dyszącej jak zwierzę, położono mi dziecko na piersi i wezbrała we mnie fala niezrównanego szczęścia, zapłakałam za mamą, a te łzy były dla mnie ważniejsze i cenniejsze niż królestwo.

*

Gdy w wieku czterech lat poszłam do klasy zerowej w szkole działającej przy zamku, pokazano mi tam katolicki katechizm, w którym pierwsze pytanie brzmiało: „Kto stworzył świat?”. W głębi serca wiedziałam, że

nauczycielka, pani O'Toole, myli się, twierdząc, że uczynił to Pan Bóg. Pani stała przed klasą i ptasim głosem czytała pytania i odpowiedzi. Może i bym jej uwierzyła, bo w oczach czterolatki wyglądała imponująco w spódnicy szarej jak foka z dublińskiego zoo, a poza tym potraktowała mnie bardzo życzliwie w dniu rozpoczęcia roku szkolnego i dała mi jabłko. Ale świat, który moim zdaniem pani powinna znać, stworzył mój tato, James Patrick Dunne, nadkomisarz – jeszcze nie w owym czasie, lecz później – w Dublińskiej Stołecznej Policji.

*

Legenda o moim ojcu mówiła, że poprowadził atak na ludzi Larkina na Sackville Street. Kiedy Larkin ze sztuczną brodą i wąsami przeszedł przez most O'Connell, przemierzył marmurowe korytarze hotelu Imperial i pojawił się na balkonie, skąd zaczął wygłaszać mowę do setek zgromadzonych na dole robotników, co było urzędowo zabronione, mój ojciec wraz z innymi oficerami policji rozkazał czekającym w pogotowiu funkcjonariuszom wyciągnąć pałki i podjąć działania.

Gdy w dzieciństwie usłyszałam o tym zdarzeniu, jeszcze tego samego wieczoru, błędnie zrozumiałam, że ojciec dokonał bohaterskiego czynu. Moja wyobraźnia dodała białego konia, na którym jechał, dzierżąc galową szablę. Przedstawiłam sobie, jak prowadzi szarżę kawaleryjską, pełna podziwu dla jego rycerskości i odwagi.

Dopiero po latach dotarło do mnie, że nacierał pieszo i że zginęło trzech robotników.

*

Dawne sprawy. Na dodatek bez większego związku z bolesną terażniejszością, tyle że określają moje położenie. Teraz wezmę głęboki wdech i zacznę jak należy.

*

Kiedy wróciłam z pogrzebu, zastałam w domu kwiaty od zaprzyjaźnionego ze mną pana Dillingera, który wszedł do korytarza i zostawił je pod moją nieobecność, lecz na mnie nie poczekał. Bukiet był kosztowny i zawierał bilecik ze słowami: „Pani Bere, mojej drogiej przyjaciółce, z wyrazami współczucia”. Szczerze mnie wzruszył. Jestem przekonana, że jeśliby żył pan Nolan, też by się wemknął. Gdybym nie wiedziała tego, co wiem dzisiaj, jeśliby śmierć pana Nolana nastąpiła kiedy indziej, może nadal sądziłabym, że był najbliższym przyjacielem, jakiego miałam w życiu. Jakie to dziwne, że on i mój wnuk Bill umarli w tak krótkim czasie jeden po drugim. Zdarzenia chodzą trójkami, to niewątpliwie prawda. Trzecia umrę ja. Mam osiemdziesiąt dziewięć lat i wkrótce pozbawię się życia. Jak mogę żyć bez Billa?

Nie zdołam popełnić takiego potwornego czynu bez wyjaśnień. Ale przed kim mam się wytłumaczyć? Przed panem Dillingerem? Panią Wolohan? Samą sobą? Nie

mogę odejść, nie zdobywszy się na wysiłek podania przyczyny tego desperackiego kroku. Zazwyczaj nie wpadam w desperację i mam nadzieję, że rzadko zdradzałam jej oznaki, gdy byłam żywą, oddychającą osobą. To do mnie w ogóle niepodobne. Więc i teraz nie będę długo ulegać temu nastrojowi. Jestem w rozpacz, tak głębokiej, że boję się o swoją trzustkę, ten dziwny, melancholijny organ, który zabił pana Nolana, ale nie zamierzam zanadto przedłużać tego stanu. Tylko tyle, ile trzeba, by zwrócić się do cieni z przeszłości, do niebieskiego eteru przyszłości – tyle to potrwa, taką mam nadzieję i o to się modłę. Potem znajdę jakiś cichy sposób rozstania się z życiem.

Nie byłam nieczuła na piękno świata, który miałam szczęście widzieć: czy to zakątki Dublina w dzieciństwie, czy to niedoceniony dziedziniec na zamku, będący w moich oczach zakurzonym rajem, czy też w późniejszych latach te długonogie, zwierzopodobne mgły, które niczym armie idą na Hamptons, nacierając albo się wycofując, wyruszając albo powracając do domu, trudno powiedzieć.

Modłę się o to, żeby pan Nolan wędrował długą drogą w dół do piekła, wśród pól stojących w płomieniach, w słońcu nabierającym niespokojnych odcieni, przez krajobraz, który się zmienia i wydaje mu się obcy – a nie przez znajome rozległe pola tytoniu i wesołe lesiste pagórki, albowiem urodził się i wychował w Tennessee, choć nazwisko miał irlandzkie, i jak każdy umierający

syn swej ziemi mógł sobie wyobrazić, że zmierza do domu. Choć w istocie kochałam go za jego życia i przez wiele, wiele lat byliśmy przyjaciółmi, słusznym i sprawiedliwym jest to, że diabeł weźmie go za rękę i poprowadzi wśród dymiących łąk.

Diabeł, jak z ogromnym smutkiem zaczynam podejrzewać, ma większe poczucie sprawiedliwości niż ten drugi gość.

*

„Tylko niewierni mogą być naprawdę wierni, tylko przegrani mogą naprawdę wygrywać” – z właściwą sobie iskrą w oku powiedział kiedyś do mnie mój wnuk Bill, zanim pojechał na pustynną wojnę. Już był rozwodnikiem, mając dziewiętnaście lat, i już uważał, że przegrał życie. A raczej Życie przez duże Ż, jak mówił. Wojna zgasiła w nim wszelki blask. Z rozpalonej pustyni wrócił człowiek, który widział jeden z diabelskich cudów. Zaledwie parę tygodni później poszedł na spotkanie z kolegami, może umówił się na małego kielicha, jak to chętnie robił. Następnego dnia sprzątaczką znalazła go ni mniej, ni więcej, tylko w toalecie liceum, do którego niegdyś uczęszczał. Wszedł tam pod wpływem sobie jedynie znanego impulsu. Popenił samobójstwo w sobotę w nocy, bo chciał – jestem tego pewna – żeby w niedzielę znalazł go woźny, a nie w poniedziałek hurma dzieci. Powiesił się na swoim krawacie, na haku na drzwiach.

Dlaczego ja żyję, a on umarł? Dlaczego zabrała go śmierć?

*

Nic innego na świecie nie skłoniłoby mnie do pisania. Nie znoszę pisać. Nie znoszę piór, papieru, całej tej skrupulatności. I bez tego poradziłam sobie, jak mi się zdaje, dość dobrze. Och, okłamuję samą siebie. Pisanie napawało mnie strachem, jako ośmiolatka ledwie umiałam napisać swoje imię. Zakonnicom z North Great George's Street wcale to się nie podobało. Ale nieraz ratowały mnie książki – taka jest prawda – moje samarytanki. Książki kucharskie, gdy uczyłam się fachu, dawno temu, choć i dzisiaj zaglądam czasem do sfatygowanej *Książki kucharskiej Białego Domu*, ni mniej, ni więcej, żeby przypomnieć sobie jakiś szczegół. Wśród dobrych kucharzy nie ma takiego, który nie znalazłby błędów nawet w swojej ulubionej książce kucharskiej i nie zaznaczył ich na marginesach, upodabniając ją do jakiejś starej księgi z utraconej Biblioteki Aleksandryjskiej. W niedzielę, kiedy jestem w nastroju, czytam czasem gazetę, od deski do deski. Pożeram ją jak przybierający na sile ogień. Gdy ogarnia mnie szczególny nastrój, lubię czytać Biblię. Jest jak utwór muzyczny, którego melodię nie zawsze daje się podchwycić. Mój wnuk Bill też lubił czytać Biblię, usiłował rozwikłać zwłaszcza Apokalipsę. Twierdził, że tak było tam, na pustyni, w Kuwejcie,

wszędzie płomienie, jak jezioro ognia. „Jeśli się ktoś nie znalazł zapisany w księdze życia, został wrzucony do jeziora ognia”*.

Chętnie słucham ludzi, opowiadań z pierwszej ręki – czyli „prosto z gęby”, jak mówimy w Irlandii. Lekkich, spontanicznych, zabawnych. Nie lubię przygnębiających opowieści historycznych.

Aż nadto wystarczą mi wydarzenia historyczne, które sama przeżyłam, nie wspominając o tych, które przeżyła moja chlebodawczyni, pani Wolohan.

Nazwisko jest oczywiście irlandzkie, ale ponieważ w alfabecie irlandzkim nie występuje „w”, muszę przyjąć, że tę literę dodano w Ameryce przed wieloma laty, w innym pokoleniu. Bo jak zauważyłam, w Ameryce słowa nie są niezmiennie. Podobnie jak ludzie. Jedynie amerykańskie ptaki tkwią na miejscu – to one, ich natura i barwa, tak mnie intrygowały i dezorientowały w pierwszych latach po przyjeździe. W dzisiejszych czasach ozdobą tutejszego wybrzeża jest bagiennik żółtoczelny, wodnik długodzioby, wilgowron mniejszy, sieweczka błada i trzynaście gatunków pokrzewkowatych. W sumie trochę jeździłam po tym kraju. Najpierw trafiłam do New Haven, przed wieloma tysiącami księżyców, można powiedzieć. Razem z moim ukochanym Tadgem. To dopiero była nieprawdopodobna historia. Ale o tym

* Biblia Tysiąclecia, Apokalipsa św. Jana 20, 15.

postaram się napisać jutro. Zimno mi, choć początek lata jest dosyć ciepły. Zimno mi, ponieważ nie mogę znaleźć swojego serca.

Drugi dzień bez Billa

Nie zadowolony z pozostawieniem wczoraj kwiatów, pan Dillinger przybył dzisiaj osobiście. Wstawiłam je niezbyt elegancko do starego dzbanka na mleko, ale i tak jaśniały na stole kuchennym. Gość musnął z roztargnieniem niebieskie płatki, jakby ledwie pamiętał, że mają z nim coś wspólnego.

Pan Dillinger odznacza się taktem i na pewno wie, kiedy jego obecność jest niepożądana. Jednak kłopot w kontaktach z nim polega zawsze na tym, że trudno nie cieszyć się na jego widok. Należy do tych chyba rzadkich mężczyzn, którzy mają władczą twarz, mocno poorly bruźdami i szlachetną, jak mi się zdaje, choć nie jestem całkowicie pewna, czym ta szlachetność może się objawiać. Wygląd tego człowieka idzie w parze z jego renomą wspaniałego pisarza. Jest jednym z najbliższych przyjaciół pani Wolohan.

Choć zbliża się do siedemdziesiątki, jego sposób bycia

nie wskazuje na zaawansowany wiek. Jest bardzo wysoki i szczupły i zamiast usiąść na krześle w moim salonie, jednym z kilku przeznaczonych dla zwykłych śmiertelników, stał lekko oparty o nie, upodabniając się do ustawionej pod kątem drabiny. Taka jest już natura umysłu pana Dillingera, że chodzi z głową jakby w chmurach i mówi o tym, co zajmuje w niej najwyższe miejsce, jest najważniejsze i najpilniejsze w danej chwili, a nie marnuje czasu na gadanie o niczym, podobnie jak pani Wolohan. Tyle że ona, będąc ze mną, nigdy nie miała takiej potrzeby. Gdy u niej pracowałam, nasze życie toczyło się jak w zegarku. Co tydzień gotowałam jej to samo. Środowe lunche niewiele się od siebie różniły, chyba że musiałam korzystać z produktów sezonowych albo czegoś nie można było kupić. Dni spędzone w Cleveland wykorzystałam z pożytkiem, a moja tamtejsza przyjaciółka, droga Cassie Blake, dzięki której po raz pierwszy zobaczyłam ostrygi i poznałam wiele kulinarnych tajemnic, odcisnęła na mnie niezatarte piętno i sprawiła, że po prostu nie mogę się uważać za złą kucharkę. Na szczęście. Gdy pani Wolohan przyjmowała mnie do pracy, a raczej wzięła mnie w spadku po swojej matce, niewątpliwie przykładła wielką wagę do tego, że jestem Irlandką, choć to w żadnym wypadku nie wystarczyłoby do otrzymania posady w jej domu.

Pan Dillinger nie potrafi gadać o niczym, ale potrafi gadać.

– Mam wrażenie, że powinienem zabrać panią do Dakoty Północnej, kiedy będę się tam udawał następnym razem – powiedział jakby na zakończenie ciągu myśli, długiego i tajemniczego jak potężne pociągi towarowe, które toczą się przez Amerykę. – Gdy sam pogrążyłem się w smutku po śmierci żony, pobyt tam, wśród Siuksów, przyniósł mi wielką pociechę.

Oczywiście ani przez chwilę nie wierzyłam, że naprawdę zamierza zabrać mnie ze sobą. Niemniej osobliwie żartobliwy ton jego słów dawał swoiste pocieszenie.

Potem mówił o innych rzeczach. Niczym staroświecki Irlandczyk z pokolenia mojego ojca, nie chciał od razu poruszać zasadniczego tematu, wolał dojść do niego dłuższą drogą. W pewnej chwili zaczął opowiadać o losach swojej rodziny w czasach hitlerowskich. Jego ojciec był dość zamożnym człowiekiem, mówił, i bynajmniej nie uciekł z Niemiec, mając cały swój dobytek w kartonowej walizce. Przenosząc się z jednego pięciogwiazdkowego hotelu do drugiego, przemierzył Europę aż po Gibraltar, gdzie udało mu się zarezerwować dla swej rodziny bilety pierwszej klasy na statek do Ameryki. Ale jego żona, matka pana Dillingera, w ostatniej chwili odmówiła wyjazdu i potem zmarła w Dachau razem z dwiema córkami. Wiele lat później pan Dillinger pojechał do Dachau, gdzie powstało coś w rodzaju muzeum. Oglądał wszystko nie okiem turysty,

mówił z zachwycającą powagą, lecz oczami z tego samego tworzywa co oczy jego matki i siostr. W sali wystawowej wisiała ogromna fotografia, opowiadał, sięgając do wspomnień, przedstawiająca kobietę, która w biegu patrzy z przerażeniem za siebie, ma rozpostarte ręce i odcięte piersi. Słyszając to, aż podskoczyłam na krześle i coś się odezwało w moich własnych piersiach. Koszmar. Co za koszmar.

– Nie zawsze dokładnie wiadomo, na co się patrzy – dodał pan Dillinger, wyraźnie drżąc na całym ciele.

Umilkł.

– Przepraszam – odezwał się po chwili. – Proszę mi wybaczyć.

– Niby co? – zapytałam. – Przykro mi, że taki los spotkał pańską matkę i siostry.

– Przyszedłem powiedzieć kilka słów o Billu – rzekł, pochylając głowę.

– Nie ma potrzeby – odparłam.

Ponieważ tak naprawdę żadne słowa nie przyniosą pociechy, to oczywiste.

Pokręcił głową jakby w odpowiedzi na następną myśl, którą zamierzał wyrazić, potem na kolejną, i tak trwał w milczeniu.

Siedziałam bardzo cicho. Przede wszystkim nie chciałam się przy nim rozpląkać. Łzy mają więcej wyrazu, gdy się je wylewa w samotności. Litość bywa czasem bardziej wilcza niż psia. Zastanawiam się, czy gdyby

zrobiono mi prześwietlenie w tym małym szpitalu, aparatura wykryłaby rozpacz. Jakiś nalot lub naciek w okolicy serca?

W końcu pan Dillinger poruszył się i na twarz wystąpił mu ciepły uśmiech. Powieki się uniosły, odsłaniając niebieskie oczy – te same oczy, o których mówił wcześniej.

– Może zabieram pani zbyt wiele czasu?

Wstał zgrabnie z krzesła, które wydało mało melodyjne skrzypienie, i opuścił na mnie wzrok. Chyba czekał na odpowiedź, lecz w moim gardle zalegała cisza. Po chwili kiwnął głową, pochylił się i lekko poklepał mnie po ramieniu. Bez słowa wyszedł do przedpokoju i wtopił się w stonowaną jasność dnia, w połyskującą perłowo świetlistość Hamptons.

Takt.

*

Po jego wyjściu wyjęłam książkę, którą mi podarował przed laty. Leżała nieprzeczytana, co przewidział, wręczając prezent. Powiedział wtedy, że znalazł się w pobliżu drogi prowadzącej do mojego domu, po długim spacerze brzegiem morza, w gęstej mgłę spowijającej plażę, tak jak lubił. Widział małego strzyżyka, który wlatywał do szczeliny w starym przydrożnym murze i z niej wylatywał. Po jednej stronie ciągnęło się za nim ogromne pole kartofli, a po drugiej pasmo wydm i kanały ze słoną wodą. W górze rozpościerało się gigantyczne

niebo nad Hamptons, coraz czystsze, bo potężna maszyna słoneczna rozpraszała mgłę. Ten ptaszek, pomyślał, nawet nie wie, że jest taki mały, żyje na niezmierzonej przestrzeni i wydaje mu się, że ma posturę bohatera. Ten ptaszek, pomyślał, jedynie czytał bohaterskie opowieści. Z jakiegoś powodu, który on sam znał najlepiej, może przez skojarzenie mnie z tym ptaszkiem, a może po prostu dlatego, że mieszkałam nieopodal jego gniazda, sama nie wiem, jeszcze tego samego popołudnia postanowił przynieść mi podarunek: oprawiony w czerwoną skórę tam Homera w przekładzie Alexandra Pope'a.

– Nie ma znaczenia, czy pani to przeczyta, czy nie. Tego nie zawiera nasza umowa.

Miał na myśli, jak sądzę, naszą umowę o przyjaźni.
Pogładziłam piękną skórę.

*Gniew Achila, bogini, głoś, obfity w szkody,
Który ściągnął klęsk tyle na greckie narody...**

Światło migotało na bruku placu defiladowego, jakby na każdym z niezliczonych kamieni leżał błyszczący pens. Stałam razem z siostrami i bratem, prezentowaliśmy umiarkowaną elegancję sukienek i nieśmiałe silenie się na męską dostojność. Nigdy nie miałam matki, więc tylko

* Homer, *Iliada*, przeł. Franciszek Ksawery Dmochowski.